№ 18.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
REJ Z NAGŁOWIC.

ROK 1841. Poznań, dnia 1. Września.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów 3, i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.

Pleban z Brzózek.

Szkic z rzeczywistego życia, przez Paulinę z S....... W'.......

W religii szukać będziecie wsparcia, tam się pociecha z nadzieją objawi, gdy cała ziemia już dla was zamilknie.

WYBICKI.
(Moje godziny.)

1.

Zegar północ wskazywał — młody pleban z Brzózek jeszcze przy małym stoliku z natężonym pracował umysłem; leżały obok niego dzieła najznakomitszych teologów, przed nim świeżo napisane kazanie. Twarz blada, policzki zaklęsłe, oczy jakoby mgłą powleczone, świadczyły, iż ksiądz Kajetan nie pierwszą noc bezsennie przepędzał.

Sprzęty oznaczały ubóstwo — w izbie było chłodno — ogień wygasł na kominku, a długa i cienka świeca słabe rzucała światło na drewniane ściany, zdobne jedynie wizerunkiem ukrzyżowanego Chrystusa i dwiema małemi rycinami. Z tych jedna przypominała drogie rysy najszlachetniejszego w dziejach naszych męża, któren trzymając oburącz wzniesiony do góry oręż — modły nieszczęśliwego ludu wyrażał.... druga żałosną budziła pamięć półśrodkowéj ustawy.....

Wieś Brzózki, niegdyś cząstka znacznego Modrzejowskich mienia, była na teraz własnością zadłużonego szlachcica. Dochody małego probostwa, dawniéj główne źrodło w osobistéj a dowolnéj hojności możnych dziedziców mające, ograniczały się dzisiaj na lichych zbiorach z piaszczystego kawałka ziemi, i na tém, co śluby, chrzciny lub pogrzeby kilkunastu ubogich kmiotków przyniosły.

Łza płynęła po bladych licach smutnego plebana; zaledwo wyżywić się był w stanie — a on miał przy sobie chorą matkę i cierpiącą na oczy siostrę, które lekarskiéj potrzebowały pomocy. W skutek życzliwéj rady i powtarzanéj namowy dziekana — z obowiązków syna i brata — stanął i ksiądz Kajetan pomiędzy ubiegającymi się o piękne probostwo w Moldanach, osierocone przez śmierć swojego pasterza. Dziedzic Moldan, pan Pieniążek, od którego wybór proboszcza zależał, przyjął go grzecznie, obiecał się namyślić, i z kazaniem na odpust Ś. Jadwigi zaprosił. Nad tém to kazaniem pracował ks. Kajetan, gdy lekkie stukanie we drzwi słyszeć się dało. Wyszedł ze świecą pleban, i zastał przed domem płaczącego chłopca, któren go wzywał do chorego ojca.

Wierny i chętny świętemu powołaniu, pospieszył bezzwłocznie przykładny kapłan do chaty, gdzie ciężką niemocą złożony kmiotek z szczerą wiarą pomocy duchownéj zapragnął. Krótkiém było usprawiedliwienie się przed Bogiem człowieka, którego cały żywot praca i niedola zapełniały; łacno w duszę nieszczęśliwego chłopka przeszły słowa niebieskiéj pociechy, bo im przewrotność, zarozumienie i duma na przeszkodzie nie stały. Lecz dłużéj się zatrzymała miłość bliźniego nad łożem cierpień — ksiądz Kajetan nie ograniczył się na samém wypełnieniu obrządków religijnych, jego serce nie było zdolném opuścić nędznego kmiotka bez przyniesienia ulgi i dolegliwościom fizycznym. Poznał, że chory wielką miał gorączkę i że mu straszliwie pragnienie dokucza, a biedni wieśniacy nie mogli mu prócz wody innego podać napoju; nadto, brak drzewa, a ztąd i wilgoć w izbie, były powodem zimna, które

zdrowego wskroś przejmując, tém szkodliwszy wpływ na chorego wywierało. Zawołał więc Michała, starszego syna Rempki, i z nim do plebanii powrócił; a dawszy mu z swojéj drwalni tyle rąbanego drzewa, ile się tylko na taczkę zmiesciło, kazał mu spiesznie ojcowe mieszkanie ocieplić. Sam zaś rozżarzył węgle na kominku w pokoju swoim, ugotował spory garnczek lipowego kwiatu — otworzył szafkę, wyjął z niéj cytrynę, przekroił, i sokiem zacisnął osłodzony cukrem napój; poczém na cienkie płótno roztarł maść skuteczną, wybrał z dużego słoja dwanaście co największych pijawek, i to wszystko choremu zaniósł.

Ranna zorza rumieniła krzyż kościółka, gdy po drugiéj w chacie bytności, ks. Kajetan z błogiém sumieniem do swojego wracał domku. Chcąc chociaż jednogodzinnym wypoczynkiem znużone pokrzepić siły, położył się na skromném i twardém posłaniu. Skleiły się cnotliwego powieki, sen zwiastował mu to, czego na jawie pragnął: zdawało mu się, iż matka i zdrowa i wesoła do niego się uśmiecha; że Elżbieta czystemi na brata patrzy oczyma; że biednym hojną sypie jałmużnę. O wschodzie słońca, zanim się pracowici włościanie do robót udali, już ksiądz Kajetan mszę ś. odprawiał..... bo on był niezmordowanym w służbie Boga, którego czcił i kochał — i słowem i czynem.

2.

Ładnym był dworek, który hrabia Łupnowski na wikaryat w Wojnicach przeznaczył, i pięknym otoczony ogródkiem; świeżo pobielone ściany z daleka jaśniały, i nie źle przy zielonych odstrzeliwały okiennicach. Ale bo też wszystko za wolą księdza wikarego się stało.

Część téj saméj nocy, w któréj ks. Kajetan odwiedzał starego Rempkę, przepędził także bezsennie i ksiądz wikary Adam Twornicki; miał bowiem gości u siebie, a uprzejmy gospodarz potrafił lubowników wista do 2giéj z północy zatrzymać.

Suchemi drewkami podniecany ogień, gorzał wesoło na kominku bawialnego pokoju; rozstawione ze smakiem dosyć okazałe sprzęty, zwierciadła, wesołe malowania, firanki bardzo zręcznie zawieszone, udowodniały, iż młody wikary umiał w swojém mieszkaniu wygodę z ozdobą połączyć.

Przy stoliku zielonym siedział na pierwszém miejscu, na doskonale włósiem wyścielonéj kanapie, pan Wychylski, podsędek z N* — i właśnie karty do nowego robra rozdawał. Był to człowiek mający około lat 40, którego twarz zdradzała, iż do nieprzyjaciół trunków ostrych bynajmniéj nie należał. Drugim z kolei był pan Antoni Micki, wynędzniały, młodziuchny starzec, z twarzą nic nie znaczącą, którego całą było zaletą, iż się bratem pani Pieniążkowéj urodził. Trzecim był pan Cwajer, komissarz hrabiego Łupnowskiego, obecnie w Wojnicach mieszkający; odznaczał się od dwóch pierwszych towarzyszów nietylko wzrostem silniejszym i łysą nieco głową, ale szczególniéj przebiegłością, która się w jego siwych przebijała oczach. Czwartym nakoniec był sam gospodarz, ksiądz wikary Adam Twornicki, młody, z biało-rumianą twarzyczką, i z zgrabnie zaczesanym włosem. Obok grających w wista stał stolik hollenderskim nakryty obrusem, na nim duży samowar, dwa półmiski z pieczystem, a jeden z bułkami warszawskiemi, które skrzętna gospodyni przy ogniu wygrzała i młodém nasmarowała masłem.

»Nie masz, jak przydłuższe wieczory z przyjaciołmi spędzać,« mówił ks. Adam i podał nowo nalaną szklankę herbaty panu podsędkowi — »bo gdyby nie łaskawi na mnie panowie, jakżebym się był dzisiaj wynudził.« — »Zapewne, zapewne,« odrzekł podsędek, dolewając sobie po drugi raz araku — »bardzo mile wieczór nam schodzi.« — »Nieskończenie dziwi mię proboszcz tutejszy,« mówił daléj wikary — »iż się tak mało udziela. O! gdybym mógł pozostać w tych stronach, które tak bardzo polubiłem, to jest: gdybym pozyskał w téj okolicy jaką z większemi dochodami prebendę, wówczas byście mnie panowie dopiero poznali.« — »A wszakżeż wakuje probostwo w Moldanach, i co do dochodów jedno z najlepszych,« odezwał się na to komissarz, rzucając okiem na pana Antoniego.« — »Istotnie, tak.... mój szwagier.... moja siostra.... poważają księdza wikarego.... będę im mówił.... przypomnę....« — »Uczyńże to Antosiu dla spólnego przyjaciela,« rzekł pan podsędek — »wiadomo ci przecież, że ksiądz Adam należy do nader miłych i prawdziwie przyjemnych sąsiedztwa naszego osób, i nie godzi się wypuszczać go od nas......«

Naprowadziwszy wedle zamiaru rzecz swoję na tor pożądany, oddalił się ksiądz Twornicki, jużto, iżby jak się domyślamy, pochwał swoich nie słyszeć, już też, aby zarządzić napełnienie samowaru świeżemi węglami. — W czeladnicy przypomniał organista, iż Bartosz trzeci raz przychodzi, wzywając wikarego dobrodzieja do umierającéj żony..... Powrócił więc do pokoju ksiądz Adam, przeprosił za mimowolne ubliżenie gościom — odział się dostatnim płaszczem, i istotnie pobiegł do choréj.

Ale stawił się w słowie, bo za chwil kilka, dopełniwszy swoich obowiązków, do nowego zasiadł robra. Z obrachunku okazało się, iż uprzejmy go-

spodarz sam jeden był przegrany. Nad świtem łaskawi na niego panowie rozjechali się; — ksiądz wikary zalecając usługującemu chłopcu zawiadomić proboszcza, że dla słabości zdrowia mszy ś. odprawić nie może, legł na miękiém posłaniu; ból głowy długo mu usnąć nie dozwolił — ponętny obraz zyskownego w Moldanach probostwa snuł się przed zaczerwienionemi oczyma.

3.

W dzień Ś. Jadwigi od samego rana krzątali się nadzwyczajnie, nietylko pokojowi służący, ale i inni dworscy, jako to: schludnie przybrani gajowi, karbowy, ogrodniczek, z kuchni do dworu, z dworu do piwnicy biegając; jeden niósł talerze, drugi szkło — ten dźwigał wołowe mięso, ów zwierzynę; żydek zadyszany na spienionym koniu przywiózł potężny wór flaków, ozór, główkę i nóżki cielęce. Pan pisarz dowodził kobietami, które tatarakiem zaściełały dziedziniec; pani Pieniążkowa ustawiała na oknach kwiaty; jegomość ściągał antałek wina, które mu kupiec z S..z.... w procencie był przysłał; — brzęk kuchennych moździerzy, stuk noży kucharskich, wrzask klucznicy, wypędzanie psów, bieganie zaziejanych dziewek dworskich z rozkazami obcego kucharza i dwóch jego pomocników, — wszystko to oznaczało, iż dziedzice Moldan wielu spodziewają się gości.

Po ukończeniu najważniejszych rozporządzeń, gdy już i księża na obchód uroczystości odpustowéj zjeżdżać się poczęli, udała się wreszcie pani Pieniążek do swojéj gotowalni — i w godzinę strój piękny ukończyła. Ubrała się w jasno-zieloną, jedwabną suknią, szerokiemi obszytą blondynami; włożyła na głowę z pąsowemi różami czepek, a na szyję przyozdobioną ciężkim łańcuchem zarzuciła szal kosztowny koloru ciemno-pomarańczowego, po którym rzucane były czerwone palmy. Pani ta liczyła lat 32, była wzrostu prawie mniéj niż niskiego, a przytém tłuściuchna; twarz miała mocno rumianą, z zadartym nosem, wychowanie zupełnie domowe; była próżną, z bogactw swoich dumną — nadto, matka jéj z jakiéjś podobno znacznéj pochodziła rodziny, jeżeli się nie mylę, Razinowska z domu.

Pan Błażéj Pieniążek miał około lat 50ciu, był także wzrostu niskiego, prześlicznéj tuszy, usta miał wąskie, oczy małe, bardzo łysy i chromał na lewą nogę: jedni nazywali go ćwikiem, inni marmurkiem. Pierwszą młodość przepędził pod okiem stryja swojego, przebiegłego adwokata; następnie był (z poręki tegoż stryjaszka) pełnomocnikiem wielkiego pana, i w tych to będąc stósunkach, umiał o sobie pamiętać. Późniéj ożenił się z panną, która mu 30,000 złtp. w posagu przyniosła, swoich uzbieranych miał blisko 100,000, rzucił się do różnych przedsiębierstw, a przyszedłszy do znacznego mienia, w przeciągu lat kilku, kupił majętność Moldany.

Nie z cnót obywatelskich, nie z szlachetnych czynów, ale z powodu swojego majątku, obranym został niedawno sędzią pokoju powiatu — co panu Błażejowi, a więcéj jeszcze jéjmości, niezmiernie pochlebiało.

Lśniące się powozy, różnorodne telęgi, bryki i bryczki przed kościołem, o uroczystości wątpić nie dozwalały, gdy z czerwoną pelerynką u podartego płaszcza dziadek kościelny państwu Pieniążkostwu oznajmił, iż ksiądz dziekan z wielką mszą czeka. Otuliwszy się lekką *à la Walter Scott* salopą, podała jéjmość pulchną rączkę wielce szanownemu małżonkowi; lokaj w nowéj liberyi z blachami na kołnierzu, na których klejnoty herbowe jaśniały (bo pan Pieniążek był już wylegitymowanym szlachcicem) — niósł za nimi książki. Przybywszy do kościoła z znamienitą powagą, zajęli kolatorską ławkę, suknem czerwoném wybitą — boć i w kościele od gminu różnić się trzeba.

Z kroplami potu zimnego na czole wstąpił ksiądz Kajetan na kazalnicę. To wszystko, co kapłana ogłaszającego słowo Boga znamionować winno, poważna a nie udana łagodność, moc religijnego czucia, prawdziwa szczytność prostéj myśli, a nie chęć popisywania się, wyrażenia szlachetne, jasność i zwięzłość, łączyły się w téj nauce. Słowa jego ewangieliczną prawdą przenikały duszę; zdawało się, że mąż apostolski z natchnienia życie Ś. Jadwigi, dobroczynnéj niegdyś księżnéj Ligniczanów, ogłasza, — i zaprawdę, kazanie plebana z Brzózek nie jedno ziarno zbawienia w serca słuchaczów rzuciło: bo Duch Ś. unosił się nad usty młodego kapłana.

(Dokończenie nastąpi.)

Pomysły o wychowaniu ludów.

3. Religia i prawo, jako środki ich wychowania.

(Ciąg dalszy.)

Jak kościół uczepiony jest u serc ludzkich, a wiara ogniwem Boga i ludów, podobnie państwo nie na zewnętrznych jakich stoi fundamentach, ale na duchu narodu podniesioném jest; i uczucie słuszności jest spojem władzy i posłuszeństwa, prawa i wykonania, ludu i Boga. Państwo jak kościół stoi na opoce, i przeciw niemu bramy piekielne nie przemogą, do-

póki tą opoką jest zamiłowanie prawa, którego najzupełniejszym objawem jest wolność. Leży w naturze prawa, że nie powinno być ludowi narzucone, ale że powinno być objawem woli ludu, bo tylko wtenczas będzie objawem jego wolności. Kto nie objawia woli swojéj przez prawo, dla tego, że albo jest ciemny, albo że téj woli objawić nie może, jest niewolnik; w pierwszym przypadku jest niewolnikiem przez własną nieoświatę, w drugim przez ucisk. Ludy dla tego w barbarzyństwie zagrzęzłe, i ludy ujarzmione, nie mają objawu woli swojéj. A i w oświeconych i byt niepodległy mających, gdzie prawo wyborców na małą liczbę ograniczone, a massom nie zostawiony żaden udział w prawodawstwie, nie ma zupełnego objawu wolności. Bo i u tych narodów całą oświatę stanowią wyższe tylko warstwy towarzystwa, a reszta pogrążona w ciemności. Z postępem oświaty, a raczéj z jéj rozciągłością na massy, podnosi się i idzie w równi prawdziwa wolność narodu, i rośnie jego siła moralna. I zapewne prawdą jest, co powiedział Johannes Müller w sprawozdaniu swojém jako minister rządu westfalskiego (*rapport sur la surveillance de la haute police sur l'imprimerie et la librairie.* Tom 27. pag. 208.): że te państwa najsilniejsze, których ludy najwięcéj oświecone. Państwo niewolników jest najsłabsze. Już dawno powiedziano, że niewolnik tylko nazwisko pana zmienia. Nie tak, gdzie jest lud wolnych. Napoleon, co, jak powiada o sobie, stolice Europy konno przejechał, nie śmiał nogi postawić na ziemi potomków Anglo-Sasów, bo wiedział, że tam trafi lud wolny, praw swoich obrońcę, który woli położyć życie, niż wolność.

Można więc powiedzieć o państwie, co o kościele, że wielcy mężowie państwa, Cezary, Karole, Napoleony, w proch się rozsypią, wielkie ich czyny w pamiątki się roznijdą, warownie Vaubana z ziemią się zrównają, ale naród trwać będzie, a trwać póty, póki w nim nie zatrze się uczucie słuszności i sprawiedliwości, będące podstawą zamiłowania praw i wolności.

Uczucie to, jak wiara, w duszy każdego złożone, nie dające inaczéj wytłumaczyć początku swojego, ino że, jak tamto, od Boga pochodzi. Jest zatém ogólnym środkiem, którym ludzie między sobą i z Bogiem są powiązani. To uczucie przyrodzone może być przytępione, spaczone, mniéj lub bardziéj wydatne, wedle różnego stanu oświaty człowieka, ale nigdy zupełnie w nim nie jest zatarte. Odzywa się głosem sumienia, jak się odzywało w Kainie, po każdym złym uczynku; a i łotr z długoletniego bezkarnego rzemiosła, nie potrafi go przytłumić, ani wyrugować z siebie.

Religia więc i prawodawstwo powinny być szkołą ludów, bo są oparte na przyrodzoném, powszechném uczuciu, i są to instytucye z natury swojéj wszystkich obejmujące i ogarniające. Temi środkami połączył Bóg ludzi w towarzystwa, państwa, i utrzymuje w stanie spółecznym. Nauczycielstwo Jego tu widoczne. Nikt téż nie zaprzeczy, że ludy drogą religii i prawa wychowywane być powinny. Prawa są środkiem nauki przez negacyą, hamując wybryki namiętności i swawoli pojedyńczych osób, zaś religia jest środkiem dodatnym, bo bezpośrednio prowadzi do cnoty. Religia wywołuje w ludach miłość i wdzięczność do Stwórcy, a tym środkiem ukształca i uszlachetnia ich byt moralny; zaś prawo utrwala i uzasadnia miłość bliźniego, bo wszelka sprawiedliwość płynie z téj zasady: nie czyń tego drugiemu, czego nie chcesz, aby tobie czyniono. Prawo przeto ukształca i uzacnia byt spółeczny narodów. Na miłości zaś Boga i bliźniego polega prawdziwy postęp ludzkości.

Czém się atoli dzieje, że kiedy od wieków każdy naród miał swoją wiarę i swoje prawodawstwo, że oba te środki tak małego dotąd były wpływu na lud sam, tak że owa znakomita większość jest tylko massą, nie czynnikiem towarzystwa?

Oto, że spaczony przez ludzi został cel onych wielkich instytucyów; że je uważano pod dyscyplinarnym nie pod postępowym względem, że miano religią i prawo za hamulce ku powściąganiu namiętności ludu, a nie za środki ukształcenia ich ducha. Lud tak się ma do religii i ustawodawstwa, jak uczeń, któremuby tylko na to w szkole wykładano naukę jaką przez surowego i nieubłaganego nauczyciela, aby się nauczył karności i ślepego posłuszeństwa, czyli zaś rozumiał co z onéj nauki, czy ukształcił rozum swój, na toby nie miano względu. Uważając ludy jako uczniów, a ich rządzców, pod czém rozumiem oświeconych, za nauczycieli, namiestników nauczycielstwa boskiego, dostrzegamy, że od najdawniejszych czasów, aż po dziś dzień, niebezpieczném się widziało i widzi, ażeby uczniów takich zupełnie oświecić. Nie wszyscy, ale tylko wybrani mieli być wpuszczani do świątyni prawdy. W starożytności dzielono już religie i filozofie i wszelkiego rodzaju misterye na esoteryczne i exoteryczne; to jest na członków, którzy we wszystkie szczegóły nauki wtajemniczani byli, i na takich, którym tylko coś z nich udzielano, a reszta, rzecz główna, była im tajemnicą. Pojęcia głębsze i prawdy wystawiano w symbolach, które nie każdy odgadnąć potrafił, i téż odgadnąć

nie miał. To samo otajemniczenie prawd i pojęć przez związki tajemne, zamknione, przez symboliczność zaprowadzoną w nauce, przetrwało pod rozmaitemi postaciami aż do dni naszych. Świat cały zarzucony symbolami, mysteryami, tajemnemi związkami, o których massy ludu albo nie wiedzą, albo ich nie rozumieją. U jednych dzieje się to z potrzeby, bo są prawdy i pojęcia, których świat znieść nie może; u innych z egoizmu, którzy przez niewczesną zazdrość, próżność, lub też pożytek własny, współbliźnim światła nie życzą, które przecież jak słońce wszystkim przyświecać powinno.

Powiedziałem wyżéj, co rozumiem pod oświatą ludu, że nam nie chodzi o to, ażeby go zrobić uczonym, bo uczoność jest rzemiosłem, zatrudnieniem, powołaniem, stanem, jak każde inne, a lud wszystek nie może mieć jednego tylko zatrudnienia i powołania; — ale że oświatą ludu jest, ażeby poznał wartość swoję. Bo jeżeli wartość człowieka jako człowieka jest wielka, nierównie większą musi być wartość ludu, złożonego z tysiąców lub milionów takich jednostek, jak jest jedno człowieczeństwo. A jednak na tak niskim stopniu stoi pedagogika ludu, że się lud ludem nie czuje, że szanuje się człowieka, a ludu się nie szanuje. — Przypuściwszy atoli uzacnienie istoty ludzkiéj i potrzebę tego uzacnienia w pojedyńczym człowieku, jako w najdoskonalszym tworze boskim, nie podobna nie przypuścić jednego i drugiego w massie ludu. Jeżeli nas litość bierze, alboli słuszne oburzenie, kiedy widzimy człowieka, co skalał w sobie albo zmitrężył wszystkie piękne i wzniosłe przymioty ducha; — co, mając sobie od Boga nadaną wolę nieograniczoną, żadnéj nie objawia woli, ale żyje i działa wolą innych; — co, oświecony iskierką światła nieskończonéj mądrości, pogrążon przecie w ciemnościach i niewiadomości; — co, stworzony na obraz i podobieństwo Boga, w chuciach cielesnych wszelkiego rodzaju zagrzązł jak w kałuży, i oszpetniał i stanął niżéj zwierza; — o ileż więcéj oburzać nas powinien widok ludu, owego zbiorczego człowieczeństwa z milionów jednostek, jeżeli jest bez woli, bez oświaty, bez szacunku siebie! Jeżeli nikczemnie jest zniżyć człowieka na narzędzie, wiele nikczemniéj, zniżyć lud na massę bezwładną, na igrzysko dumy osobistéj, na igraszkę prywatnych widoków. Ktoś powiedział: kto sobie da deptać po karku, wart, ażeby mu po nim deptano; podły wart upodlenia. — Jeżeli zasada taka nie jest może bez wyjątku u ludzi pojedyńczo uważanych, gdzie przemocy wielu wola jednego często uledz musi, to z większém prawem da się zastósować do ludów, które dla tego tylko nieskończenie mniejsza siła fizyczna pokonywa, że w nich nie ma siły moralnéj, nie ma wartości siebie. Lud jest to pęk rózg, silny i niezłomny, jeżeli go jedna myśl, niby powroslo, przewiąże; gdzie takiéj braknie moralnéj przepaski, tam lada siła rozrzuci go na jednostki, słabe przez się i mało znaczące, massa rozstrzeli i rozleci się na atomy, i lada powiew jak sirocco w południowych krajach, podmiecie je, i uniesie z sobą w powietrze.

(Dokończenie nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

Wiadomości u dawnych Egipcyan. Lubo dawni Egipcyanie w niektórych gałęziach mniéj posiadali od nas wiadomości, w innych przecie nam wyrównywali, a może i przewyższali. Robili szkło, soczewki i szkła palące. Ich delikatne kamee rznięte zapewne były za pomocą drobnowidzów. Wiedzieli, iż księżyc składa się z wody i lądu, iż dzień księżyca równa się piętnastu dniom naszéj ziemi i t. d., co świadczy o gruntowném użyciu dobrych narzędzi. Robili złoto do picia — wynalazek ten znów odkrył niedawno pewien francuzki chemik. Roboty ich złote i zegarkowe zapewne nader były dowcipne. Posiadali sztukę hartowania narzędzi miedzianych, tak, iż niemi najtwardsze granity rznięto — sztuka ta teraz zaginęła. Takie narzędzia dotąd się zachowały, ich ostrze bynajmniéj przez tak dawne czasy nie ucierpiało, mimo śladu ich używania. Za pomocą naszych narzędzi nie bylibyśmy w stanie wyrzynać tak ostro i wydatnie napisów, jak oni. Ogromne kamienie podnosili do wielkich wysokości; sami angielscy inżynierowie zapewniają, iż tego dokonaćby nie byli w stanie, mimo rozległych znajomości mechanicznych. Że znali zasadę wiercenia studzien artezyjskich, o tém przekonano się niedawno we wielkiéj oazie. Nie ulega też żadnéj wątpliwości, iż znali zasadę kolei żelaznéj; posiadali bowiem sztuczne proste drogi, równéj potoczystości, ze żłobkami olejem nasmarowanemi, na których sprowadzali z dalekich stron ogromne kamienie, całe kościoły z kamienia, i olbrzymie posągi. Szczątki nawet żelaza w tych żłobkach teraz odkryto. Pan Arago dowiódł, że znali nadto siłę pary, którą używali do swych tajemnic po jaskiniach odbywanych (pewien rodzaj wolnego mularstwa). Sztuki ich czarodziejskie przechodziły wszelkie wyobrażenie.

Garrik jako duch. Sławny aktor Garrik po powrocie swym z Francyi w roku 1765., chciał od-

wiedzić swego dawnego przyjaciela w okolicy Londynu, lecz zastał familią jego, szczególniéj córkę, w najgłębszym pogrążoną smutku. Przyjaciel jego umarł, a majątek po nim dostał się w ręce siostrzeńca w skutek oszukaństwa. Aktor czuł jak największy współudział w tym smutku rodziny, i na szczęście wpadła mu myśl osobliwsza. Wywiedział się o szczegółach zmarłego, o jego wieku, słabościach, swarliwości, peruce i kaszlu. Garrik był mistrzem w naśladowaniu osób, prosił o ubiór zmarłego, wdział go na siebie, i zawołał na starego służącego, który wnosił do sali herbatę. Na głos znajomy swego pana tak się przestraszył, iż zbladł jak trup i upuścił filiżanki. Rodzina o tém natychmiast się dowiedziała, i wybiegła, by ujrzeć nieporównanego aktora. Ale na widok osóbki skołatanéj chorobą, opierającéj się o poręcz, a ręką drugą o kij i schodzącéj na dół po schodach, zamiast śmiechu, pewien rodzaj przestrachu wszystkich ogarnął. Garrik ztąd udał się do udanego i zdradliwego spadkokradzcy, który wówczas wielki dom prowadził i hulał za pieniądze swojego krewnego. Było to wieczorem, kiedy na raz w sposób szczególny doń zakołatano. Nie oczekiwał o ten czas nikogo i nie spieszył się z otwarciem drzwi, aż po trzykroć do niego zapukano. Garrik, a raczéj duch starego wujaszka, stał nieporuszony, oparty na kiju, na progu pokoju, i patrzył oczyma wielkiemi na niego. William, siostrzeniec, przeraził się tym widokiem. Cofnął się i nie mógł słowa wymówić; tylko zęby mu latały i nogi drżały. Garrik widział, jakie na nim uczynił wrażenie, i spodziewał się dojść szczęśliwego wypadku. W kilka minut rzekł wolnym, suchym głosem: »Williamie, Williamie, cóżeś uczynił? Tyś okradł moich spadkobierców. Tyś śmiał być nieposłusznym ostatniéj méj woli i obrałeś tych z majątku, którym go przeznaczyłem. Słuchaj uważnie na moje słowa, niech ci posłużą za przestrogę. Twoje sumnienie powie ci, co masz uczynić. Jeżeli jutro twéj zbrodni nie naprawisz, o téj saméj godzinie przybędę po ciebie i zabiorę cię w długą i daleką podróż.« Słowom tym towarzyszyły okropne jesta, potém oddalił się zwolna i zniknął w ciemnościach. Oszust rozumiał, że ostatnia wybiła godzina, padł na kolana, słuchał w téj postawie straszliwéj mowy, i miał się za wybawionego, skoro odda niesłusznie zagrabiony majątek. Wstał za oddaleniem się widziadła, zamknął drzwi, wyszukał wszystkie papiery, na których spadek polegał, zapieczętował je i pobiegł z niemi do prawnych spadkobierców, dla ich oddania. Garrik tymczasem wrócił do swoich przyjaciół, przebrał się i siadł w ich gronie. Opowiadał właśnie o swych odwiedzinach u siostrzeńca, kiedy służący oznajmił jego przybycie. »Sądziłem,« rzekł on — »że majątek wuja do mnie należał, przekonawszy się teraz o błędzie, wracam com zabrał niesłusznie i proszę o zapomnienie krzywdy.« Garrik oddalił się tymczasem i przywdział ubiór starego wuja. Kiedy William zabierał się do wyjścia, zabiegł mu drogę Garrik i rzekł: »widzę, że nie napróżno cię napominałem, teraz już nie zabiorę cię w daleką podróż.« Oszust stanął jak odurzony, poznał dopiero, jak sam się ułowił, ale było zapóźno — nie pozostało mu nic, jak oddalić się co spieszniéj, by ujść powszechnego urągania i pośmiewiska.

Życiorys pani Campi, napisany przez jéj syna, tém jest dla nas ważniejszy, że była Polką i jedną z najsławniejszych śpiewaczek swego czasu. Obowiązkiem przeto naszym być sądzimy, zwrócić uwagę na zgasłą wielkość, która po sobie w utworach sztuki nic nie pozostawiła pochwytnego, tylko przypomnienie pięknego talentu. Słowa syna są niemal następujące: »Moja matka urodziła się w roku 1773. 10. Grudnia w Lublinie. Ojciec jéj był artystą muzycznym i nazywał się Miklasiewicz. Matka moja po pierwszy raz wystąpiła w Wiedniu w roku 1801., w operze »Aleksander.« Późniéj śpiewała bravour arye w operze »Flet czarnoksięski«, w któréj jako królowa nocy występowała, a że jéj głos sięgał nadzwyczajnéj wysokości, przeto też o oktawę całą wyżéj śpiewała. Toż samo urządzono i w operze »Don Juan«, a zawsze śród poklasków powszechnych powtórzenia aryi żądano. Nie od rzeczy będzie tu wspomnieć, iż moja matka licząc lat 13, była nadworną śpiewaczką króla Stanisława Augusta w Warszawie, a w roku 1791. poszła za mąż za zmarłego teraz mojego ojca Gaetano Campi, mistrza muzyki w Pradze. Z tego małżeństwa 17 dzieci się urodziło, między niemi raz trójnięta, a cztery razy bliźnięta! Była przez lat 34 mistrzynią wdzięcznego i silnego głosu i jeszcze na łożu śmiertelném podczas delirium, krótko przed zgonem śpiewała z zachwyceniem słuchających skalę ubarwioną najrozmaitszemi tonami. Na pomniku jéj grobowcowym kazał ojciec napisać między innemi: »ukończyła wędrówkę tego życia w przejeździe do Monachium, aby śpiewać na tamtym świecie w chórze aniołów.«

Miasto Florencya, zazwyczaj spokojne, temi dniami przerażone zostało widowiskiem okropnego zdarzenia. Książę Corsini miał w służbie swojéj murzyna nazwiskiem Zamora, wiary mahometańskiéj, i Maryą Nunciatę Goldoni, żarliwą katoliczkę. Murzyn uzbierał sobie znaczny majątek w służbie swego pana i rodzice zezwolili na zamęście swéj córki

z murzynem. Jedyną przeszkodą była religia i mimo starań nie dał się murzyn na wiarę katolicką nawrócić. Pewnego piątku zaprosił ojciec Maryi Zamorę na obiad; cała rodzina siadła do stołu. Wszyscy weselili się, Zamora jadł mięso z ryżem, Marya częstowała go winem, które z pogardą odrzucił. Młoda dziewczyna rzekła z uśmiechem do niego: „ty nie jesteś przecie mahometanem, boś jadł w téj chwili mięso wieprzowe.« Słowa te wprawiły murzyna we wściekłość. Pochwycił za nóż ze stołu, i pchnął nim w pierś swojéj kochanéj Maryi. Rodzice biegną córce na pomoc, Zamor naprzód ojca, potém matkę zabija. Syn, który z odwagą bronił swéj matki, krzyczy o pomoc, lecz zanim ją dano, już tarzał się w krwi własnéj. Nareszcie przybyło dwóch karabinierów, Zamor wydziera broń jednemu z nich i ściele pierwszego trupem, gdy tymczasem drugi wystrzelił i zabił zażartego murzyna. Władzy miejscowéj nic nie pozostało, jak kazać pogrzebać sześć trupów.

Umiejętność i filantropia. Przed piętnastu laty umiejętność i filantropia w połączeniu, wynalazły galaretę, to jest nowy pierwiastek pożywny, wygotowany z kości. Od piętnastu lat żywiono chorych po lazaretach, biednych w domach zarobkowych i więźniów po więzieniach sławną galaretą z kości. Umyślono ją nakoniec zaprowadzić we francuzkich koszarach, ktoś jednak powiedział: „pozwólcie wprzód przekonać się, czyli podobna żywność prawdziwie posila.« Dziwiono się zarzutowi, ale przystąpiono jednak do doświadczenia nowego. Z sprawozdania opartego na doświadczeniach i podpisanego przez sławne nazwiska Magendie, Chevreul i Thenard, okazało się, iż przymioty posilne przypisywane galarecie z kości wygotowanéj, bynajmniéj nie istnieją i że z dwóch psów żywionych galaretą i wodą, ten, co wodę samą pijał, przeżył karmionego galaretą. Jedném słowem przeto powiedzieć można, iż od lat piętnastu wszyscy po lazaretach, domach ubogich i więzieniach żywieni galaretą, z głodu pomarli.

Sinobroda. Znany z powiastek sinobroda, zbójca, był właściwie Francuz, nazwiskiem Gilles de Laval, pan na Retzu, Briolay, Chantocé, Ingrans i innych posiadłościach w Bretanii i Francyi, najbogatszy z magnatów z czasów króla Karóla VIIgo. W dwudziestym roku posiadł ogromny majątek i przehulał go nadmiarem swéj rozrzutności. Między przykładami marnotrawstwa podają urządzenie kaplicy, do któréj utrzymywał biskupa, diakona, lektora, dwóch archidiakonów, czterech wikarych, dwunastu kapelanów i ośmiu chórzystów. Wszyscy z nim jeździli. Każdy miał konia, służącego, suknie szkarłatne i futro. Wożono za nim kosztowne naczynia kościelne, organy. Późniéj przyjął w swą służbę lekarza Nebali; ten utrzymywał, że stoi ze złem w związku i potrafi skarby utracone odzyskać w sposób nadprzyrodzony. Odtąd zbrodnię za zbrodnią popełniano, na których wspomnienie ludzkość się wzdryga. Tak np. rozkazał w dobrach swoich chwytać najpiękniejsze dzieci i do Chantocé sprowadzać, tam je zabijał i w krwi ich kąpał się, bo tym sposobem mniemał zachować swą czerstwość i siłę. Przeszło sto ofiar takich padło, a sprawiedliwość nie śmiała ramienia na niego podnieść. W skutek oburzenia powszechnego wytoczono mu proces, który trwał przez lat kilka i wykazał okropności trudne do uwierzenia, nakoniec zapadł wyrok, skazujący na spalenie go żywo na łące pod Nantes. Wyrok wykonano 23. Grudnia 1440. Winowajca chlubił się jeszcze przed sądem, iż tyle zbrodni popełnił, że te wystarczyłyby na potępienie dziesięciu tysięcy ludzi. Jeszcze teraz ukazują ruiny krwią splamionego zamku w Chantocé.

Nim wynaleziono sztukę robienia szpilek, zaopatrywali kramarze damy w drewniane kolce lub ciernie strugane, któremi sobie suknie upinały. Wyrabiano je szczególniéj we Wallis, gdzie kobiety zręcznie umiały je strugać i gładzić. Przedaż jednak ich zupełnie ustała za przybyciem pewnego Johna Tilskiego, który osiadł w Gloucester i zaprowadził sztukę robienia szpilek. Tilski znalazł wielki pokup na swoje szpilki, gdyż kobiety przekonały się wkrótce o ich wartości i użyteczności i zarzuciły zupełnie strugane drewienka. Przedawanie ich wielkie przyniosło miastu korzyści, bo zatrudniało mnóstwo mężczyzn, kobiet i dzieci. Tilski przytém zarobił ogromne summy. Robota szpilek jest w rzeczy saméj szczególniejsza. Tak drobna rzecz jak szpilki, przechodzi przez ręce dwudziestu i pięciu osób, począwszy od drutu aż do ostatecznego wykończenia.

Zemsta. Pani D. posiadała śliczną kotkę, którą pan K., wielki myśliwy, zastrzelił. Pani D. kazała u siebie natychmiast i u licznych swoich przyjaciół łapki na myszy pozastawiać. Kiedy tym sposobem do czterysta myszy nałapano, umieściła je wszystkie w skrzynce i posłała je żonie pana K. Ta nie wiedząc, zkąd skrzynka pochodzi, i dorozumiewając się, że to jaka niespodzianka w modnych drobiazgach, otworzyła czémprędzéj, — lecz zamiast towaru, mnóstwo rozpierzchło się myszy po domu. Na spodzie skrzynki wydobyła kartkę z adresem do niéj, w tych tylko słowach objaśniającą zdarzenie:

»Pani, jéj mąż zastrzelił mi moją kotkę, a ja za to przesyłam pani moje myszy.«

Zegar na banku londyńskim ustawiony ma w rozmaitych salach, podwórzach i gankach 16 cyferblatów, na których skazówki poruszane są mechanizmem w głównym zegarze zawartym, i dla tego na wszystkich tarczach liczbowych ani na sekundę nie uchybiają. W zegarze tym porusza się 200 kół, a sprężyny i pręty, które w ruch je wprowadzają, wynoszą 700 stóp długości i ważą przeszło 6 cetnarów. Główna waga waży 350 funtów. Dwa razy na tydzień naciągają ten zegar.

Trawa w indyjskich Dschungelach. — Większa część zarosła jest trawą dschungelową i trudno zapewne uwierzyć, iż niejedne łodygi wyrastają do dwudziestu pięciu stóp wysokości. Gdybym sam był nie widział, nie uwierzyłbym nikomu. Mogę tu ręczyć za prawdę, iż na jedném polowaniu na tygrysy, stanąłem w howdah na ogromnym słoniu, a trawa o wiele stóp nad głową moją wystawała. Cały poczet trzydziestu słoniów, z w czwórnasób liczniejszą drużyną służby i koni, które jedne za drugiemi następowały, tak tą trawą nie raz bywały osłoniane, iż trudno było nawzajem się rozpoznać.

MODY. — Paryż, dnia 26. Sierpnia 1841. — Sierpień był u nas zimny, smutny, jak dwa poprzedzające miesiące, i prócz zielonéj darni nic jemu nie zawdzięczamy. Tak straciliśmy rok, rok bez lata, bo lato bez słońca, jest jak bal bez światła. Dla kogo są kwiaty, które się rozwijają bez woni, dla kogo owoce dojrzewające, bez słodyczy? Jakże można sobie Paryż wystawić bez mieszkańców, którzy go ożywiają, bez słońca, które mu drugie życie nadaje, ów pusty i ciemny Paryż z samotnemi i brudnemi alejami? Paryż w téj chwili nie ma tego tłumu przejeżdżających, co inne lata; wszystko zdaje się idzie za nowym zwyczajem i wynosi się na wsie i letnie mieszkania. Wpływ powietrza na wszystko się przeto rozciągnął. W toaletach panuje wielka anarchia. Gdyby szło wszystko dawnym porządkiem, donosiłabym o sukniach z lekkiego muślinu, o kapotkach gazowych, krótkich rękawkach, o takich, jakie nam wiosna zapowiadała. Ale dziś wszyscy otulają się w ciepłe mantylle, grube tkaniny wełniane i ochraniające zasłony.

Nigdy aksamit stósowniéj nie zespalał się ze słomą; bez aksamitu słoma byłaby prawdziwym anachronizmem. Maurycy Beauvais robi negliżowe kapotki, które nazwał kapotkami pożegnania. Są to małe kapelusze słomkowe z kolorowemi wstążkami aksamitnemi, a pod obwodem wstążki lub paski aksamitne.

Piękne gazy bareżowe czekają tylko na ciepło, aby się ukazać. Dotąd wyrabiają z nich ubiory na wieczory, negliże, na biesiady lub teatr. Lśniące kitajki, jedne gładkie, drugie w liczne wązkie paski, w takiéj są liczbie, iż trudno je wszystkie opisać.

Większa część składów modnych w téj chwili najwięcéj przedstawia przedmiotów do podróży, odwiedzin. Znajdziesz tam w drogę do wód płaszcze, które i w jesieni z upodobaniem będą noszone, bo są ciepłe, miękie i wygodne.

Na wieczorne przejażdki wybierają muślinowe mantylle, różowo lub niebiesko podszyte, których oszycie koronkowe lub hafty, jakby w wałach unoszące się, ukazują damę jak w obłoku okrytą.

Na towarzystwa wieczorne najstósowniejsze bywają suknie muślinowe, organtynowe, z świeżego jedwabiu lub bareżu w krojach najnowszych i najpiękniejszych.

Szale kaszemirowe nie tyle nabawiają teraz kłopotów mężów, co dawniéj. Przyczyny szukać należy, że są tanie a piękne, i nie ustępują w niczém szalom wschodnim. Brousse w Paryżu dostarcza ich po cenach umiarkowanych.

Objaśnienie ryciny.

1. Frak z okrągłemi, szerokiemi połami, kieszeniami na bokach. Pantalony w kratkę.
2. Kapelusz jedwabny. Szlafroczek ciemny, z stanikiem gładkim. Z przodu osadzony wstążkami i dużemi guzikami. Kołnierzyk koronkowy.
3. Strój głowy w otwarte bufki. Suknia muślinowa. Stanik bluzowy, z kołnierzykiem na wycięciu garnirowanym. Krótkie rękawy. Z przodu gałązki kwiatów, ku dołowi coraz większe.
4. Jedwabny kapelusz, osłoniony chusteczką koronkową i różami zdobny. Suknia jedwabna, osadzona dwoma ukosami, z haftem *en guipure*. Stanik z wywiniętym kołnierzem. Półdługie rękawy.
5. Surdut jasny, na jeden rząd guziki, duże boczne kieszenie. Pantalony w kratkę.

Redaktor: *N. Kamieński.* — Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*



L. Brückner sc.

18